



ILUSTROWANY



PRZEGLĄD TYGODNIOWY



Wychodzi w każdą niedzielę
w
Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie



Rocznik I.

8. sierpnia 1915

Nr. 35.

Redakcja, administracja i ekspedycja
Morawska Ostrawa, ul. Johannowego 5.
Tel. Nr. 163.
Rękopisów się nie zwraca.

Cena numeru 20 halerzy

Prenumerata kwartalna . . K 2:50

Prenumerata półroczna . . K 5—

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor.,
 $\frac{1}{2}$ strony — 50 kor., $\frac{1}{4}$ strony — 25 kor.,
 $\frac{1}{8}$ strony — 12 50 h. i t. d. Przy kilkakrot-
nym zamieszczeniu wysokie rabaty.

Luźne uwagi.

Przed kilkoma tygodniami jeden z publicystów warszawskich p. S. Bukowiecki zamieścił w »Kuryerze War-

szawskim artykul., w którym żąda natychmiastowego utworzenia uniwersytetu polskiego oraz politechniki polskiej



Artyleria austro-węgierska — Motorowa balerya merserowska z amunicją.

w Warszawie i powołania profesorów Polaków z innych dzielnic Polski lub też wybitnych uczonych polskich z zagranicy. Wykłady powinny rozpocząć się w październiku. Fakt, że publicysta warszawski uważał za właściwe i możliwe wystosować swe żądanie w obecnej dobie, i to pod adresem rządu rosyjskiego świadczy najlepiej o dezoryentacji politycznej wśród niektórych warstw społeczeństwa polskiego w Królestwie. P. Bukowiecki wierzy bowiem, że rząd rosyjski zechce i może przychylić się do żądania i że w terminie wskazanym otworzy podwoje uniwersytetu polskiego w Warszawie. Widocznie, że rosyjski projekt autonomii Polski opracowany przez Radę ministrów z pp. Maklakowem i Goremykinem na czele nie dostatecznie objaśnił p. Bukowieckiego o zamiarach rosyjskich co do Polski. W projekcie tym wyraźnie powiedziano, że Polacy mogą mieć uniwersytet i szkoły polskie, ale również z warunkiem, że dla mniejszości rosyjskiej będą na koszt Polski utrzymywane szkoły i uniwersytet z rosyjskim językiem wykładowym. To znaczy, że »budujcie i otwierajcie sobie uniwersytet za swoje pieniądze, a tego, co mamy, nie oddamy. A więc ani dotychczasowego pomieszczenia warszawskiego uniwersytetu, ani biblioteki uniwersyteckiej i zbiorów naukowych Moskale nam nie oddadzą i że Polacy, chcąc mieć uniwersytet swój — muszą stworzyć wszystko de noviter. To samo odnosi się i do politechniki, która powstała kosztem narodu polskiego, a nie rządu rosyjskiego. Dziwnie optymistycznie zapatruje się p. Bukowiecki na zamiary rządu rosyjskiego, który miał przecież dość czasu do zaspokojenia potrzeb narodu polskiego. Wszak już rewolucja i strejk szkolny powinny były spowodować zmianę na naszą korzyść. Jeżeli dotychczas rząd rosyjski tego nie zrobił, to trudno ludzię się nadziejać, żeby w przyszłości można od niego czegoś oczekiwać. Otwarcia uniwersytetu polskiego w Warszawie nie można dzisiaj traktować jako kwestyi oddzielnej i odrębnej — dobre to może było jako dezyderat chwili przed kilkunastu laty.

Wówczas trudno było spodziewać się i oczekiwać większych ustępstw i taki oderwany punkt programu mogły partie ugodowe przedstawiać rządowi rosyjskiemu. Dziś jednakże sprawa przedstawia się odmiennie — otwarcie uniwersytetu i szkół polskich stanowi junctum z zmianą stosunków politycznych w Królestwie. Jak te zmiany Moskale rozumieją, to, jak już wiadomo, najlepiej wskazuje rosyjska autonomia Polski. Jaka zaś jest gwarancja, że Rosya dotrzyma zobowiązań i utrzyma w Polsce nadal to, co by teraz dała. Możemy być pewni, że egzystencja polskiego uniwersytetu w Warszawie byłaby nader krótką — zwycięska Rosya nie potrzebując liczyć się z kimkolwiek, bezwarunkowo zamknęłaby podwoje szkół polskich.

Gdyby Rosya miała rzeczywiście szczerze zamiary względem Polski, byłaby już dawno przeprowadziła w Polsce reformy a to w zrozumieniu własnego interesu. Lecz Rosya stworzyła dopiero komisję, która ma opracować zasady przyszłej autonomii — a i ta komisja przerwała już swe obrady. Istnienie i działalność tej komisji najlepiej charakteryzuje sytuację — Rosya ludzię się, że jeszcze zwycięży i chce zyskać na czasie.

Konstytucję Księstwa Warszawskiego opracował podobno Napoleon w ciągu kilku godzin. — Rosya nie ma jednak Napoleonów.

Doświadczenie zaś uczy nas, że tak, jak znikło Królestwo Kongresowe, jak poszły do śmieci projekty reform Wielopolskiego, tak samo znikłaby po wojnie autonomia Polski.

Pod mylnym więc adresem skierował swe żądanie p. S. Bukowiecki a i nieodpowiednią wybrał po temu

chwilę. — Armaty grają — tysiące Polaków na wszystkich frontach ginie, miasta i wsie spalone i zniszczone, a p. Bukowiecki występuje z żądaniem, dla którego ozaspojenia potrzebne są inne warunki.

P. Bukowiecki żąda od rządu rosyjskiego sprowadzenia polskich profesorów z innych dzielnic polskich — a więc Rosya ma w czasie wojny sprowadzać siły profesorskie z Krakowa i Lwowa — to już chyba zakrawa na żart.

Wątpimy bardzo, czy którykolwiek z polskich uczonych i profesorów zgodziłby się teraz objąć katedrę uniwersytecką w Warszawie, nie mając w dodatku gwarancji długiego istnienia tegoż.

Również i termin otwarcia uniwersytetu naznaczony przez p. Bukowieckiego na październik jako zbyt krótki wskazuje na zbyt naiwną wiarę p. Bukowieckiego w szybkim ukończeniu wojny no i w Rosyę.

Pomyślnie więc załatwienie sprawy szkół polskich w Królestwie zależnem jest od zmiany politycznej egzystencji — skoro zaś na to Królestwo tyle lat czekało — to potrzebną jest cierpliwość do czasu ukończenia wojny. W wolnej od barbarzyńców Polsce naród sam stworzy sobie potrzebne do swego rozwoju i kultury instytucje naukowe.

A być może, że trzy polskie uniwersytety i dwie politechniki w Krakowie, Lwowie i Warszawie nie będą wystarczające. Wojna obecna pochłania zbyt wiele ofiar z pośród narodu polskiego. Trudno dziś jeszcze o dane statystyczne, możemy jednak w przybliżeniu obliczyć, że po skończonej wojnie będziemy mieć ubytek w zabitych koło pół miliona, drugie tyle rannych — z tych wielu, wielu takich, którzy nie będą mogli dalej pracować. Powyższa liczba strat nie będzie przesadzoną, jeżeli się weźmie pod uwagę, że Polacy walczyli w trzech armiach: rosyjskiej, niemieckiej i austro-węgierskiej i to na wszystkich terenach wojny — niezależnie od tego znaczne ofiary w Legionach. Zważyć również należy, że Moskale nie oszczędzają materiału ludzkiego, no a więcej jak prawdopodobne, że pułki z przewagą Polaków pchają w największy ogień. A wielu jeszcze zginie wskutek niedostatecznych warunków bytu i epidemii, jakimi nas Rosya obdarza — cholera, dżuma, tyfus i syfilis — mogą jeszcze pochłonąć tysiące ofiar. A wśród walczących rodaków jest wiele sił intelektualnych — mamy lekarzy, prawników, techników i wielu z tych, których przeznaczeniem jest ze względu na wykształcenie i inteligencję stać na czele narodu i nracować nad jego rozwojem i kulturą. — W tych szeregach może być z końcem wojny tak znaczny ubytek, że nie starczy ludzi potrzebnych do odbudowania Polski.

Usunięcie następstw zakażenia kraju chorobami, jakimi nas Rosya obdarzyła, wymagać będzie wiele pracy — wiele czasu i wielu pracowników. Przed polskimi lekarzami olbrzymia praca a wiadomo dobrze, że Moskale nie szanują pracowników Czerwonego Krzyża na linii bojowej.

Nowa, wolna, niepodległa, i złączona Polska potrzebować będzie wielu budowniczych swego bytu politycznego. Sam ustrój polityczny jako też prawodawstwo cywilne i karne ulegną zmianie. Dziś na ziemiach polskich regulują się stosunki życiowe na mocy czterech odmiennych prawodawstw, rosyjskiego, niemieckiego, austriackiego, kodeksu Napoleona, no i prawa wojennego państw wojujących. Jakie będą zasady konstytucyjne i jakie będzie prawodawstwo cywilne i karne przyszłej Polski czy konstytucja będzie wzorowaną na austriackiej, francuskiej lub angielskiej — czy będzie utrzymany kodeks Napoleona — czy też wprowadzone będzie prawodawstwo austriackie,

tego jeszcze dziś nie wiemy. W każdym razie zmienione warunki bytu naszego wywołają zmianę na każdym polu. Prawników polskich czeka więc intensywna praca i to tak w dziedzinie administracyjno-politycznej jak i sądowniczej. A tych młodszych prawników dużo wskutek wojny ubędzie — starsze zaś siły wskutek wieku i przepracowania nie będą mogły podolać zadaniu. Zniszczone miasta i wsie, zburzone zakłady przemysłowe, drogi, koleje, mosty i t. d. wymagać będą pomocy wielu techników a polscy inżynierowie giną również w służbie pionierskiej i w linii

A podniesienie rolnictwa wymagać też będzie bardzo wiele sił fachowych — szkolnictwo ludowe i średnie sił nowych, a tych będzie brak.

Praca więc nad odbudową Polski potrwa dziesiątki lat — potrzeba więc, aby powstały nowe zakłady naukowe, któreby przygotowały dostateczną ilość pracowników na niwie ojczyściej. Oprócz uniwersytetów i politechnik w Krakowie i Lwowie — musi powstać uniwersytet warszawski a także i w innych miastach Polski.

Można n. p. powołać na nowo do życia akademię zamojską, — stałoby się zadość tradycji historycznej.

Jan Zamojski, hetman w. k., doradca króla Stefana Batorego, założył w Zamościu w r. 1589 akademię, przy której była i drukarnia. Akademia ta dostawczy się po pierwszym rozbiore Polski w r. 1773 pod panowanie austriackie, zamieniona została na liceum, które istniało do roku 1816, poczem zostało przeniesione do Szczebrzeszyna. Wznawiając więc fundację wielkiego hetmana, można by założyć uniwersytet jego imienia z siedzibą w Lublinie. Lublin posiada zbiory naukowe pozostawione przez śp. prof. Łopacińskiego — zbiory te mogłyby być zawiązkiem biblioteki przyszłego uniwersytetu. Naturalnie o ile Moskale zniszczyli i wywieźli te zbiory, to trzeba będzie de noviter wszystko fundować.

Drugim miastem nadającym się na siedzibę uniwersytetu, to Płock, który również ma bibliotekę fundacji Zielińskich, potomków autora Kirgiza. O ile nam wiadomo, to opiekę nad tą biblioteką ma, zdaje się, Towarzystwo rolnicze, czy też kredytowe ziemskie. Również i kapituła płocka ma bogate zbiory.

Prawdopodobnie i w innych miastach polskich znalazłyby się warunki dla powstania uniwersytetów.

O ile Litwa będzie połączoną z Polską, to w Wilnie może na nowo powstać z popiołów wszechnica, która dała nam Mickiewicza, i wielu zasłużonych krajowi. Wilno ma już i zbiory naukowe i muzeum i Tow. naukowe a więc wszelkie warunki potrzebne dla powstania uniwersytetu, no a tradycja historyczna ma także znaczenie.

Mogłaby tylko być wątpliwość co do charakteru uniwersytetu wileńskiego, czy byłby ściśle polski, czy też utrakwistyczny.

Choć publicyści niemieccy odmawiają nam zwrotu Ks. Poznańskiego, to mimochodem wspomnimy, że powstanie polskiego uniwersytetu w Poznaniu byłoby i wskazane i pożądane.

Na siedzibę politechniki nadaje się Częstochowa, leżąca w połowie mniej więcej drogi między Łodzią, Zgierzem, Pabianicami i t. d. a zagłębem Dąbrowskiem, tem więcej, że już dzisiaj Częstochowa sama jest miastem wielce przemysłowym.

Te same warunki ma i Kalisz, powstanie zaś polskiego wyższego zakładu naukowego w Łodzi przyczyniłoby się wiele do nadania miastu bardziej polskiego charakteru.

Również wskazanem byłoby, aby w Puławach istniała dalej szkoła rolnicza z charakterem akademickim — istnieje

dotąd instytut rolniczy przenieśli Moskale do Charłkowa. Szkoły rolnicze wyższe mogłyby również powstać na Kujawach, np. w okolicach Włocławka, a także w Łomżyńskim lub na Podlasiu. Projektowana akademii górnicza w Krakowie uzupełniłaby szereg naszych instytucji naukowych.

Te skromne uwagi nasuwają się nam przy rozważaniu losów przyszłej Polski — czy myśli te dałyby się urzeczywistnić, to zależnem jest od wielu okoliczności — przede wszystkim zaś od połączenia wszystkich ziem polskich. Co do tego zaś nie powinniśmy mieć wątpliwości. Memoriał Naczelnego Komitetu narodowego, skierowany w swoim czasie do Ministerstwa spraw zagranicznych w Wiedniu mówi o jednej z zasad istnienia narodu polskiego — o niepodzielności dotychczasowego Królestwa Polskiego; — odpowiedź barona Buryana nie zaprzecza temu punktowi a przeciwnie w odpowiedzi tej zaznaczono, że te możliwości rozwoju narodowego, które dotychczas Polacy mieli, będą po szczęśliwej wojnie z pewnością jeszcze pomnożone. Oświadczenie to rozumiemy jako o niepodzielności wszystkich ziem polskich w przyszłości, bo możliwość rozwoju narodowego wtedy tylko będzie pomnożona, o ile naród i wszystkie ziemie polskie stanowią jedną nierozdzielalną całość. Całość, niepodzielność i wolność Polski to są warunki sine qua non istnienia i rozwoju naszego a tak jak dawniej zwano Polskę przedmurzem chrześcijaństwa, tak silną mogącą oprzeć się Rosyi Polskę świat nazwie przedmurzem kultury i cywilizacji.

Z wojny.

Pocieszające wiadomości mamy do zanotowania z ubiegłego tygodnia. Iwangród osaczony a również zajęto Lublin i Chełm. Prócz tego sprzymierzeni przeszli Wisłę między Iwangrodem a Warszawą, równocześnie zaś rozwijają się operacje w okolicy Brześcia Litewskiego, jak również i od północy Królestwa. Zajęcie Warszawy jest wobec tego bardzo bliskie — być może, że najbliższe dni przyniosą nam radosną wieść »Warszawa wolna!«. Wszelkie dane wskazują na to, że walki pod Warszawą będą mieć charakter rozstrzygający, tem więcej, że operacje gen. Hindenburga w kierunku Petersburga pomyślnie się rozwijają; że Moskale zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie im grozi, to dowodem zarządzenia ewakuacyjne w Rydze, Rewlu, Wilnie i innych miastach. Kolej Warszawa—Petersburg lada dzień będzie w ręku sprzymierzonych. Zajęcie zaś Brześcia Litewskiego będzie ważnym momentem, gdyż sprzymierzeni będą mieć silny punkt oparcia, ułatwiający operacje w kierunku Moskwy, o ile będzie tego potrzeba. Również nie czują się widocznie Moskale na siłach do stawiania oporu na Wołyniu, Podolu i w Besarabii — jednym słowem, cały front rosyjski jest zagrożony.

O ile wierzyć można wiadomościom prywatnym, Moskale podminowali wszystkie mosty w Warszawie, mając zamiar wysadzić je w razie konieczności cofania się — czy Moskale będą bronić Warszawy, lub nie, to nic pewnego niemożna powiedzieć, gdyż wiadomości co do tego są dość sprzeczne — trzeba jednakże być na to przygotowanym, że Moskale, o ile możliwości będą usiłowali zniszczyć i spalić Warszawę. Byłoby to dla nas Polaków klęską wielką, niemniej jednak nadzieję, że ludność Warszawy nie dopuści do tego. Tajne polskie organizacje wojskowe dopilnują Moskali o ile tylko będzie można, być więc może, że i moskiewski zamiar wysadzenia mostów warszawskich spełnie na niczem.

Wszyscy uczestnicy czwórporozumienia odgrają się tem, że wojna nie prędko się skończy, i że potrwa albo rok



Z wojny z Włochami.

Lawina kamieni przeciwko Włochom.

jeszcze, a nawet i dwa lata — no nie wiadomo jednak, czy klęska Moskali pod Warszawą nie zmieni zapatrywań ich sprzymierzeńców.

Obezwładnienie najsilniejszego przeciwnika pozwoli sprzymierzonym na spiesniejszą i pomyślną akcję we Francji i Włoszech, a wobec tego możliwość wcześniejszego pokoju nie jest wykluczona. Włochy zużywają teraz swe siły w bezskutecznej ofensywie, to też gdy armia austro-węgierska przejdzie na seryo do ofensywy — trudniej im będzie dotrzymać placu — tem więcej, że i nowi obywatele włoscy w Trypolitanii nie zachowują się spokojnie i podobno dość energicznie zabierają się do wyrzucenia Włochów ze swego terytorium. Postawa Trypolitańczyków musi bezwarunkowo wpłynąć na włoską akcję wojenną.

Francja poniosła w obecnej wojnie olbrzymie straty, niema zaś nadmiaru ludności — chroniczna jej choroba, to wyludnianie się — o nowe siły bojowe będzie we Francji coraz trudniej. Całą nadzieją Francji była Rosya, z chwilą, gdy Rosya będzie pobita, to nie wiadomo, czy Francja dla przymierza z Anglią, będzie skłonna do dalszego prowadzenia wojny, czy zechce dopuścić do wkroczenia Niemców do Paryża — co jest niemięknieniem w razie klęski francuskiej — warunki pokoju byłyby wtedy daleko cięższe. Nie może zaś Francja bardzo liczyć na Anglię, która ma dość trudności ze swymi obywatelami, niechętnymi służbie wojkowej — no a brak amunicji jest dość poważną bolączką.

Wspólna akcja Francji i Anglii w Dardanelach, jak dotychczas jest bezpłodną, a nie wiele zmieni się sytuacja, o ile i włoska flota wystąpi do walki z Turcją.

Z prasy neutralnej dowiadujemy się, że toczą się pertraktacje między Rosją a Japonią w kwestji przymierza. Ciekawe bardzo, jakim będzie to przymierze, zbyt chytry bowiem są Japończycy, aby nie mieli skorzystać z kłopotów Rosji — o ile to nowe przymierze przyniosłoby nawet Rosji chwilową pomoc — to pomimo tego osłabi ją w in-

nym kierunku. Japończycy, dając swą pomoc, ocenią ją drogo i zażądają znacznych ustępstw.

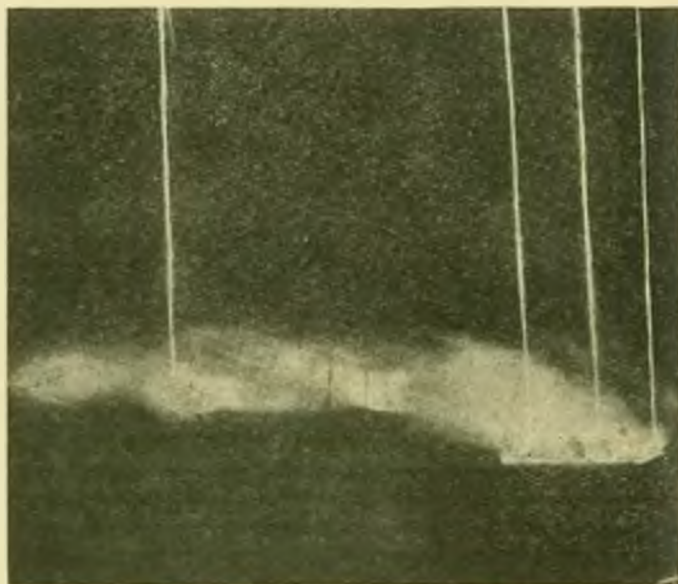
Stanowisko neutralnych państw bałkańskich, jak dotąd, jest niezdecydowane — widocznie czekają na wiadomości z pod Warszawy i dopiero po jej zajęciu zdecydują się na czynne wystąpienie — a również czeka na to i Szwecya, od jakiegoś czasu pobrzękująca szabelką. W myśl zasady »vae victis« Bulgarya, Rumunia i Szwecya mogą wystąpić przeciwko Rosji i jej sprzymierzeńcom, oraz pupilom, a tem samem przyczynić się do wcześniejszego zakończenia wojny.

Teatr amatorski w Mor. Ostrawie.

Jednym z najważniejszych czynników kulturalno-narodowych jest teatr, który daje szerokim sferom godziwą rozrywkę, zaznajamia ogół z plodami ducha ludzkiego, podnosi poziom kulturalny danego społeczeństwa — wyrabia w masach smak artystyczny i poczucie piękna i dobra, podnosi ducha narodowego — staje się ostoją języka i ideałów narodowych — naturalnie o ile są po temu odpowiednie warunki.

Jeżeli teatr ważną odgrywa rolę w rozwoju narodu w kraju własnym, to o ileż większego nabiera znaczenia na obczyźnie wśród dobrowolnych wygnańców, którzy wśród swoich nie znalazłszy pracy, tułają się wśród obcych. Każdy człowiek, jakiegokolwiek stanowisko zajmuje, potrzebuje po pracy rozrywki — tak ten, co z piórem lub cyrklem w ręku za biurkiem siedzi, jak i robotnik, co młotem wali — wszyscy potrzebują od czasu do czasu odświeżenia umysłu, oderwania się od codziennych zajęć zawodowych, aby mieć siły do dalszej pracy — różnica polega tylko na rodzaju rozrywki, którą każdy stara się szukać tam, gdzie ją można znaleźć. Przy wroście oświaty wymagania ogółu są większe — dziś chętnie każdy idzie do teatru a w braku tegoż do kina, które ma być niby surogatem teatru. Naturalnie na obczyźnie idzie się do obcego teatru, gdzie tak jak i przy pracy słyzy się obcą mowę, z którą zaznajamia się bliżej, spoufala, a w końcu przyswaja ją sobie zupełnie, tak, że z biegiem czasu powoli zatracą pamięć o tem, że posiada własny język — to już pierwszy krok do wynarodcowienia się.

Na scenie obcej widz polski zapoznaje się z obcymi autorami, którzy w swych sztukach przedstawiają obce o-



Oświetlenie rosyjskich pozycji rakietami świetlnymi.

byczaje i zwyczaje, a te żyjąc dłuższy czas na obczyźnie mniej oświecony pracownik polski mimo woli przyswaja sobie, a o i drugi już krok ku wynarodowieniu się. Niezadko na obcej scenie można spotkać się ze sztuką obrażającą narodowe uczucia polskiego widza, który nie mając innej rozrywki — stopniowo i z tem oswaja się — obojętniejąc zaś na tego rodzaju sceny, robi trzeci krok i staje się snadno obcym swemu społeczeństwu. W dodatku moralna i literacka wartość sztuk obcych pozostawia nieraz wiele do życzenia. Wstrętne dramidła, obliczone na efekt i najniższe instynkta ludzkie, obniżają poziom moralny — deprawują duszę polskiego widza. Tę samą wartość moralną mają i niektóre kina; przed kilkoma dniami wiedeński „Kurier polski” doniósł, że w Wiedniu niektóre kino-teatry silą się na przedstawienia obrażające naród polski. O ujemnym wpływie obcych widowisk niech zaświadczy poniższy fakt. Piszący te słowa był raz w kino w Siedlcach w Królestwie Polskiem. W antrakcie między poszczególnymi obrazami występowały ostatniego gatunku szansonetki i różnego gatunku drapichrósty, bawiące polskich widzów płaskimi dowcipami w języku rosyjskim — byli wprawdzie i oficerowie i soldaci rosyjscy — których to bawilo — dla polskich widzów było to nader smutne, — czy nie mogli, czy nie chcieli reagować na te próby przeszwarcowania rosyjskiego języka — zachowali się obojętnie — a kto wie, czy przy częstych tego rodzaju eksperymentach staliby się odpornymi, gdyby powstał tam stały teatr rosyjski — prawdo-



Polski teatr amatorski w M. Ostrawie.
Akt I, scena 10.

Miotelku (p. Dubiel): Ależ to nie ten sam.
Ernest (p. Kisielnicki): Tam do licha.
Fistuliński (p. Jakubiec): Dajcie mi krzesło.

podobnie uczęszczaliby z braku innej rozrywki do rosyjskiego teatru. Cel więc rusyfikowania mógłby być osiągnięty. Jeżeli więc na własnej ziemi obce widowiska są szkodliwe dla narodu — to tem więcej na obczyźnie. Co robić więc?

Pożądanem byłoby, aby istniał stały teatr polski na obczyźnie we wszystkich tych środowiskach, gdzie w większej liczbie przebywają Polacy. Niestety — jest to niemożliwe z rozmaitych względów. Skoro to niemożliwe, to należy się kontentować teatrem amatorskim, któren również może spełniać swe zadanie — o ile do pracy na tem polu wezmą się ludzie dobrej woli, a mający po temu odpowiednie zdolności. Za zasługę więc wielką należy poczytać tym, którzy przyczynili się do stworzenia teatru amatorskiego w Morawskiej Ostrawie. Teatr amatorski ma ujemne strony, ale ma także i dodatnie. Amatorzy, niosąc w ofierze swą bezinteresowną pracę, przyczyniają się do zwiększenia teatralnych dochodów — przeznaczonych z reguły na zaspokojenie różnych potrzeb społeczno-narodowych. A tych potrzeb bez liku.

Teatr amatorski w M. Ostrawie powstał w listopadzie 1914 r. — pod reżyserią p. St. Czercbaka — na czele komisji administracyjno-finansowej stanął p. nadinżynier Roman Rienger, jako prezes.

Szczupłe grono amatorów rekrutowało się częściowo z pośród stałych mieszkańców M. Ostrawy, przeważnie ze sfer nauczycielskich — częściowo z pośród chwilowych emigrantów.



Polski teatr amatorski w M. Ostrawie.
„Szalony pomysł” farsa odegrana 25. lipca br.
Akt II., scena 20.

Fistuliński (p. Jakubiec): „No grajże!
Miotelka (p. Dubiel): Aha — mam grać — no to dobrze.

Przedstawienia dawane są jużto w Polskim Domu Narodowym, jużto w gmachu miejskiego teatru. Szczupła scenka w Polskim Domu Narodowym nie pozwala nieraz na wystawienie poważniejszych sztuk — to też i repertuar musi ograniczać się do sztuk lżejszych, nie wymagających ani zbyt wielkich dekoracji i akcesoryi teatralnych, ani też zbyt licznego zespołu artystycznego. Tego rodzaju przedstawienia, jako mniej kosztowne, mogą wytrzymać prędzej kalkulację i dać nadwyżkę na cele publiczne. O ile nasi amatorzy chcą zagrać sztukę poważniejszą, wymagającą ii akcesoryi i kostyumów, co wszystko podnosi koszt, to muszą wędrować do miejskiego teatru, gdzie większa widownia, o ile wszystkie bilety rozprzedane, pozwala na pokrycie kosztów i zwiększenie nadwyżki dochodowej. W krótkim stosunkowo czasie zdolano wystawić szereg sztuk takich, jak Słowackiego »Mazepę«, Żuławskiego »Ijola«, Fredry »Zemstę za mur graniczny«, oraz »Damy i huzary«; zagranie takich sztuk to właściwie ponad siły amatorów, tem większa ich z asługa, a przedewszystkiem ich reżysera p. St. Czerbaka. Wystawiono również Nikorowicza »W gołębniku«, dalej farsę »Tatuś pozwolił«, Korzeniowskiego »Okrężne« a ostatnio zagrano dwukrotnie »Szalony pomysł«, farsę tłumaczoną i zlokalizowaną. Do dalszej kampanii przygotowują się amatorzy w cichości ducha — następne przedstawienie ma się odbyć w miejskim teatrze.

Nadmienić musimy, że od maja reżyserję objął p. inż. Włodzimierz Kisielnicki.

W dzisiejszym numerze dajemy szereg zdjęć fotograficznych z ostatniego przedstawienia farsy »Szalony pomysł«, zagranej tak, że i zawodowi aktorzy nie mogliby lepiej.

Naturalnie dobra gra wymaga oprócz talentu dużo przygotowania — dużo czasu i pracy — wdzięczność należy się tym, którzy właśnie to ofiarują a miejmy nadzieję, że to grono amatorów stale powiększać się będzie i z czasem utworzy tak zgrany zespół artystyczny, że żadne zadanie nie będzie dla nich trudnem.

RAJMUND BERGEL.

Po szarzy.

(Duma żałobna).

Jadą, jadą połą drogą, wyboistym szlakiem,
Chłopskie wozy, jeźdźcy smutni — to ciągną orszakiem
A na wozach — jako żywo — dziwne wiozą łupy
Widać sine krwawe twarze — blade, zimne trupy.
Gdzieście takie towarzysze nazbierali plony?
Jeden z konnych rzekł mi cicho: „Oto dług spleacony“.

Jadą wolno pełne wozy, ciężar na nich leży,
Wiozą, wiozą z pola bitwy poległych żołnierzy.
Na wezgiowia, na przykrycia nasuto im kwiatów,
Dojrzyś z pod nich pierś rozdartą i strzępy rabatów.
Widać w dali stoki wzgórza, szanów czarne smugi.
Tam swą sławę w krwi wywalczył sobie szwadron drugi.

Okrzył on się wielką, krwawą, nieśmiertelną chwałą,
Teraz wraca — lecz tak dziwnie, tak dziwnie ich mało.

A na przedzie rotmistrz jedzie, rotmistrz ukochany;
Ręce na krzyż, szablą z boku, kwiatami ubrany.
A za wozem koń z aniony, smutnie zwiesił głowę...
Nie polecą, nie polecą na dzikie przegony.
Pan zabity, wóz go wiezie, a on sam zraniony.

Więc na przedzie, rotmistrz jedzie — tak się przecie godzi,
A poza nim wiozą wozy ciała lęglej młodzi.
Prowadził ich wódz kochany na krwawe, na boje,
A teraz ich poprowadzi, w cmentarne podwoje.

Jadą, jadą drogą połą,
Łany ich witają,
I nad pracą ich mozo'ną
Tak się użalają:

Ni wam dzwony nie zagrają
Ni wam ksiądz zaspiewa,
Jeno wrony zakrakają,
I zaszumią drzewa.

Ni was dłonie ukochane
Nie będą pieściły,
Hej! czekają wykopane
Już na was mogiły.

Krwawa była wasza chwała
A ciężkie skonanie,
Lecz wam Ziemia zgotowała
Już ciche postanie.

I chyła się kłosa,
i chyła się wrzosa
w pokłony

Bolesnem łkaniem,
żałobnem graniem
jak dzwony.

I łany tak łkały
żałobną żegnały
kolendą,
By im się pokłonić
za dzwony, co dzwonić
nie będą.

Aż z wolna przebrzmiały
te smutne hejnały
i płacze...

Los smutny sieroty
i próżne tęsknoty
tulać.

Jedzie, jedzie orszak cały w smutku i milczeniu,
Czasem tylko gdzieś podkowa brzęknie na kamieniu,
Czasem tylko wóz zaskrzypi, łańcuch zaszczękoce,
Lub gdzieś błysnie szablą naga w wieczornej pomroce. —
Czasem tylko po przez pola wiatr głucho zaświszczy
Niosąc z sobą trupi zapach popiołów i zgliszczy. —

Śmierć zatarła wielkich marzeń cele niedościgłe
Jak zmrok owe na szablach krwi krople zastygłe.
Dopełniona już ofiara, zdjęte trudów brzemie,
Cisza wstaje — tęskna cisza.

Noc otula ziemię.

R. n. B. 26 VI 1915.



Miasto powiatowe Sanok po inwazji rosyjskiej.

Fr. K. Tobiczky: Karykatury włoskie.

Ballada o błękitnej Gardzie.

(Dokończenie.)

Pod oszklonym dachem »kurpawilonu« jęczy rozpacznie niedobranym chórem kwartet smyczkowy.

Na »rżniętych« skrzypkach »rżnięci« winem Gauta synowic Feba »rzną« niemilosierne boską Aidę, nieśmiertelną Wdówkę, przesłodką Carmen, Twoo Steep i Sorento. U progu wcrandy paru kuracuszów gra w preferansa.

— Kelner — duże piwo!

— Zweigenduft, wychodź — siedm pik!

Pod krzakiem zmokłych magnolii strażnik ogrodowy lupie do taktu wścieklej gallopady zmokłym obcasem w równie zmoakłą ziemię.

— Dummer, dummer Reitersmanu...

— Piccolo — kawa!

Kędyś w dali sinej, w smutnej szarzyźnie stalowego nieba prześwica dziwnie białą pól śniegowych potężny masyw grzbietów Monte d'Ovo.

Skrzą się w łachmanach szarych mgieł — niby to z baśni czarodziejskie wyspy w pośród odmetów ciemnych wód omroczonego slotą oceanu — hen, po zawrotnych, podobłocznych wyżach pola śniegowe szczytów Monte d'Ovo.

Wyże zawrotne! — Podobłoczne wyże!

Oto człowieczy syn padółu ziemi modłę się do was rozłęsknionem okiem — —

Wyże — zawrotne wyże!

— Dummer, dummer Reitersmann —

— Kelner — duże piwo!

— Greku — jak będzie słońce i pogoda, słońce i pogoda, pójdziemy se — —

Kędy po śnieżnych, podobłocznych wyżach wicher tu-many mgieł o skaly miota.

— Piccolo — kawa!

— Zweigenduft, podgrywasz —

— Dummer, dummer Reitersmann — —

W ajpejskich górach są ponoś doliny ustronne cudnie — i dziwnie zaciszne.

Tam »zawróconej« pozwól spojrzeć głowic. (Mistrz Juliusz czasem chytrze umiał gadać!) Widzisz tę tęczę rozpiętą w parowie?

To — Val di Sarca.

Słynna Val di Sarca, kolebka rodu wielkich Segantinich i Vina Santo.

Więc zaraz u wstępu, za wyciosanym z głazów mostem della Sarca Segantiniiego rodzinne dworzyszczce.

— Przypatrz się Greku dobrze — tu się bowiem rozdził ten, co kochał góry, wielki samotnik, mistrz z nad Engadynu — —

A tam na lewo, na urwistej skale ruina — ongiś dumny Castel Arco.

A tam, w oddali, na ponurej ścianie Monte Calodri — ta plama jaskrawa, to — kuty w skale, średniowieczny kościół St. Paolo.

— Et, żartujesz bracie! — Ta ohydna plama, ta — — jajecznicza szpetna — kościół!? Opowiadasz — —

— Ano — podobnoś jakiś »cdnowiciel« z pod dobrej daty, w różowym humorze — tak go uszlachcił gracko na — różowo. Za to go widać choćby na trzy mile — —

Greku zwiesił głowę smętnie, jak przystoi czule dotkniętym w estetyczną strunę ludziom klasycznym — i sapiąc zajadle, niby kowalski miech, przyspieszał tempa proporcjonalnie do wzrastającego z każdą godziną piekielnego skwaru.

— Ej, ty na szybkim koniu dokąd pędzisz Greku i — czemu sapiesz jak lokomotywa? —

— Gorąco — mówi — haniębnie gorąco. Lecz za to spojrzij — tam na horyzoncie wyrasta z łona winnic i zielonych gajów oliwnych przepotęzna masa głazów posępnych. (W Baedckerze stoi: dawna morena lodowca di Sarca.) Tam tedy rozrzucim tandetue łachmany pseudo-kultury, wstępując w dziedziny królestwa z baśni, śnieżnych najestatów wierzchów zawrotnych, wyżyn podobłocznych — —

O di profanum vulgas —

W skwarnej spiekocie italskiego słońca pniemy się z trudem po głazach moreny na przelaj w górę.

A za każdym krokiem opada niżej barwne dno doliny — skąpane w słońcu zielone winnice, gaje oliwne, rozkwiecione sady brzoskwiń, migdałów — i wstęga błękitna rozkosznej Sarki.

Byle wyżej — wyżej —

Po trzygodzinnej, mozolnej wędrówce stajemy wreszcie na szczycie moreny.

Greku odsapnąwszy, wnet przysłania oczy ręką pod słońce i sokolim wzrokiem spojrzaj wokół — —

— Cóż tam znów u licha za gmach przed nami!? — Jakiś gród przedziwny. — Skrzy się w słonecznym żarze dach blaszany, jak z Parcivala święty Montsalvat. — Hej chłopcze — a chodźże ino — nie wiesz ty kochanie, co to za dziwny gród i jak się zowie?

Chłopak zdumionym ogarnąwszy okiem postać Achaja, z głupia frant, łakomie wyciąga rękę:

— Un soldo, signore.

— Gadaj, łajdaku, zaraz: jak się zowie ten gród potężny —

— Co za gród? — signore — to nic jest żaden gród — to przecie jeno trydencka nowa — e l e k t r o w n i a!

Przy elektrowni odualazi się także i dom zajezdny. Więc jako, iż człowiek »w zawrotnych wyżach« zostaje człowiekiem, wstąpiliśny obaj.

— Buon giorno — ojcie — chcemy jeść!

— Buon giorno! Czemu mogę służyć?

— Jeść!

— Natychmiast będzie »pranzo«. Chłodnik po werońsku z świeżych oliwek, zupa oliwkowa, cavoli fiori w sosie na oliwie, pstrągi w oliwie, risotto conolio, oliwa z groszkiem, groszek na oliwie —

Olio — oliwa — oliwy — oliwie —

Greku kochał ongiś góry i jeziora, poezję, słońce i wszystko co włoskie: kapustę włoską i makaron włoski, orzechy, ryby, wino i — oliwę — —

A dziś? —

Zapytaj Greka, przyjacielu — a on ci powie — —

Jeśli ci tedy, bracie, nie smakuje encyklopedya dwudziestego wieku — nie jedź nad Gardę, boć zaraz u wstępu zielonowłosych palm sadzone rzędy rykną ci w oczy śniechem: o szalony! — zaś z kollegiaty pomarańcza dzika, jak swego czasu Ojca Zadżumionych, spytała cię:

— Głupcze! Gdzie są twoje klepki!? — Paskudnie spyta. I — coż jej odpowiesz? —

Riwiera-Gardy, w lutym 1915.

Polski teatr amatorski w Mor. Ostrawiej.



Dziurdziulewicz (p. Robak): Weronisia — czy to jedwab, czy bawełna.
Osoby: Fifi (p. Pasternakówna) Weronisia (p. Kratzer) Ernest (p. Kisielnicki)



Narwański (p. Sierakowski): Jakże się to wszystko z nami łączy.
Osoby: pna Kratzer, p. Robak, pna Hardt, p. Cibicki, p. Dubiel, pna Zychon, p. Kisielnicki, pna Bruschi, p. Sierakowski.



Koniec aktu III. Kręcki: A to co? Miotelka: Ostatni dzień Don Juana.
Osoby: p. Robak, pna Pasternakówna, pna Zychon, pna Kratzer p. Kisielnicki, p. Dobrzański, p. Dubiel.

RYSZARD WURMFELD.

Jego Ekscelencya.

Żołnierze rosyjscy o'oczyli kotem, wśród tryumfalnych okrzyków, tureckiego oficera, którego udało się im wziąć do niewoli.

Pojmany jeńiec był mężczyzną wysokiego wzrostu, o twarzy pełnej wyrazu, energii i stanowczości. Ze spokojem patrzył na oddział żołnierzy, a na ustach jego rysował się uśmiech pogardliwy.

— Jak się nazywasz? — zakrzyknął nań dowódca patrolu, podoficer Mogiłow. — Skąd przybywasz?

Jeńiec popatrzył nań obojętnie i milczał, jakby nie rozumiał zadanego mu pytania.

Mogiłow powtórzył je po turecku. Mówił tym językiem doskonale, jak gdyby sam był wyznawcą Islamu.

Jeńiec milczał w dalszym ciągu,

— Rewizya osobista! — wydał rozkaz Męgi'ow.

Dziewięciu żołnierzy rzuciło się na pojmanego oficera. Jeden z nich wyciągnął mu z kieszeni złoty zegarek i podał go Mogiłowowi. Mogiłow otworzył kopertę i zawołał radośnie:

— To cenny zegarek genews'ii! Sprzedamy go i podzielimy się pieniędzmi. Szukajcie dalej.

Okazało się, że w zanadrzu jeńca znajdował się pugilares. Nie było w nim pieniędzy, tylko jakieś papiery i dokumenty.

— Dawajcie je! zawołał Mogiłow.

Podano mu pansery, wśród których było kilka listów. Mogiłow zaczął je czytać. Rozczarowanie poczęło się malować na jego twarzy. Nagle jednak oczy błysnęły mu radośnie. Trzymał w ręku dekret, który mianował majora wojsk tureckich Tehir Beya pułkownikiem.

— Tehir Bey! — zwrócił się do towarzyszy. — To nazwisko od tygodnia było codziennie wymieniane w pułku. Tehir Bey, postrach armii wschodniej.

Następnie zaczął czytać gazetę, która znajdowała się między papierami. Umieszczona w niej było ogłoszenie, że człowiek, który wyda w ręce Rosyan Tehir Beya, otrzyma dziesięć tysięcy rubli nagrody. Pod ogłoszeniem znajdował się portret Tehir Beya, podobny, jak dwie krople wody do pojmanego przez patrol tureckiego oficera.

— Bracia! — zawołał Mogiłow, drżąc ze wzruszenia — udał się nam tym razem polów. Za głowę tego człowieka wyznaczył car batiuszka nagrodę 10.000 rubli. Donieść trzeba generałowi, że Tehir Bey znajduje się w naszych rękach, a niewątpliwie nagrodę nam wypłaci. Trzeba natychmiast zawiadomić go o tem telegrafem bez drutu i pozostać na naszym posterunku.

W głównej kwaterze armii rosyjskiej siedział z miną wielce zniechęconą, ekscelencya generał Siergiej Siergiejewicz Tokiłow. Już od tygodnia ruszyć się nie mógł

ze swej pozycji, gdyż ten przeklęty Tahir Bey ciągle trzymał go w szachu...

Do gabinetu ekscelencyi wszedł adjutant służbowy.

— Ekscelencyjo, nader ważna, korzystna wiadomość. Przed chwilą doniósł patrol, że Tahir Bey wzięty został do niewoli. Wiadomość ta nadeszła telegrafem bez drutu.

Ekscelencyja zerwał się z krzesła.

— Co mówisz? — Siodłać mi konia...

— Bracia — mówił na posterunku.

Mogiłow — każdy z nas przyczynił się do wzięcia tego Turka do niewoli. Jest nas dziesięciu. Na każdego z nas przypada zatem na głowę po tysiąc rubli. W dzisiejszych czasach gratka to nietada.

Zdała dochodził tentent koni, pędzących galopem.

Przed frontem salutującego oddziału, stanął generał ze swym adjutantem.

Gdzie jest ten jeniec?

Pojmany oficer stanowczym krokiem podszedł do generała.

— Jakże się pan czuje w tej nowej sytuacji? — zapytał go ekscelencyja Siergiej Siergiejewicz Tokiłow z szyderczym uśmiechem. — Nie myślał pan zapewne, że dziś jeszcze zawiśnie pan na rosyjskiej szubienicy.

Turek nie odpowiedział na tę groźbę ani słowa.

— Gdzieście go schwytali?

Dowódca patrolu Mogiłow wystąpił przed front.

— Szpiegował nasze pozycje. Urządziliśmy zasadzkę i otoczyliśmy go kotem.

— Był sam jeden?

— Według rozkazu, ekscelencyjo, sam jeden bez towarzysza.

— Tak, to na niego wygląda. — Kto go wziął do niewoli?

— My wszyscy, nasz patrol... Dziesięciu żołnierzy ekscelencyjo...

— Doskonale! Dokonałście czynu wielkiej zasługi. Należy wam się nagroda. Wybierajcie ją sobie sami.

Mogiłow wyciągnął z zanadrza gazetę.

— Ekscelencyjo, znajduje się tu w tej gazecie ogłoszenie, że nagroda wynosi dziesięć tysięcy rubli. Przeznaczył je za jego głowę najmiłościwszy car batuszka. A tu niżej — wskazał palcem — jest portret schwytanego jeńca.

— Hm... — rzekł po chwili generał z wahaniem. Przywołał swego adjutanta i szepem zapytał go:

— Ile pieniędzy znajduje się w kasie pułkowej?

— Dziewięćdziesiąt rubli, ekscelencyjo.

— Dziewięćdziesiąt? Przedwczoraj było przecież przeszło 15 tysięcy...

— Przecież ekscelencyja wczoraj przysłał ordynansa z rozkazem, by przesłać ekscelencyi do domu 14 tysięcy rubli. — Wieczorem zaś mieliśmy kilka wypłat. Pozostało tylko 90 rubli.



Polski teatr amatorski w Mor. Osirawie.

Ernst (p. Kisielnicki): A tu — co się dzieje? — Miotelka (p. Dubiel): Ano — komponujemy.



Szlakiem bojowym legionów.

Groby legionistów poległych w bitwie pod Konarami.



Kalisz w Królestwie polskiem po zburzeniu.

Obecnie siedziba niemieckiego cywilnego zarządu okupowanego terytorium po lewej stronie Wisły.



Niemiecka kolumna prowiantowa w Champięgne we Francji.

— Dobrze już... Dobrze. Dowódca patrolu niech wystąpi przed front.

— Jestem, ekscelencyo!

— Posłuchaj... Czyn wasz jest tak podniosły, że wstydziłbym się nagradzać go pieniędzmi. Czekaj was większa nagroda. Cobyś powiedział na order Włodzimierza? Wiesz, że to jest wysokie odznaczenie...

Mogilów spuścił głowę i patrzył przez chwilę na ziemię, mocno zmieszany. Wkrótce jednak przyszedł do siebie, chytrze oczy utkwił w generale i rzekł, nieco zresztą pojąkując:

— Ekscelencyo!... Myśleliśmy.. przypuszczaliśmy... jesteśmy ludzie biedni... wolimy tę wyznaczoną dla nas nagrodę pieniężną.

Generała widocznie zirytowały słowa żołnierza.

— Jesteś człowiekiem bez ambycji, bez poczucia honoru. Pewny jestem, że twoi towarzysze inaczej postąpią.



Chłopcy lwowscy pozbierane na polu bitwy karabiny rosyjskie odnoszą władzy.



Oficerowie II. p. I brygady, którzy w bitwie pod Konarami w dniu 16. czerwca br. wykonali świetny atak na Swojków.

Zwrócił się do stojącego przy Mogilowie żołnierza:

— Posłuchaj... generał twój pragnie cię nagrodzić. Cobyś wybrał: portret miłościwego cara, czy pieniądze?

Zapytany uśmiechnął się głupkowato i rzekł:

— Ja chcę tysiąc rubli, ekscelencyo.

Ekscelencya w adł w ostateczną pasyę.

— Głupcze — zawołał z wściekłością.

— A teraz moje ostatnie słowo: każdy z was dostanie po dziesięć rubli i basta!

Na twarzy żołnierza odmalowało się ponure rozczarowanie. W oczach ich świecił tłumiony poryw buntu.

Generał go odczuł.

— Prócz tego każdy z was dostanie dziś ciepłe, gotowane mięso na wieczerzę i po flaszkę wódki. Jesteście zadowoloneci?

Mogilów posunął się krok naprzód.

— Ekscelencyo! Myśmy się już porozumieć... Wolimy pieniądze, niż order Włodzimierza i nawet portret...

Generał odepchnął go i w gniewie począł tupać nogami.

— Mam już tego wszystkiego dosyć. Jesteście bandą nikczemników. Chcecie zniszczyć Rosję swą drapieżną chciwością. Właściwie powinienem was surowo ukarać. Za to, co zrobiliście, przebaczam wam... każdy dostanie po dziesięć rubli. Na tem koniec. Kto byłby taki głupi, by takiej bandzie dawał 10 tysięcy rubli?!

— Ja — odezwał się nagle głos obcy.

Wszyscy się odwrócili. Był to głos wzi tego od niewoli Tehir Beye.

Patrzył ze spokojem na całą grupę. Podkreślił wąsa i rzekł następnie po rosyjsku:

— Chciecie dostać 10 tysięcy rubli. Możecie je uczciwie zarobić, jeśli waszego wroga uwięzicie i wydacie w moje ręce.

Żołnierze patrzyli nań z oświeceniem. Mogiłow dał im znak ręką. Zebrał się w kupkę szeptali coś krótką chwilę, krótką jak błyskawica, poczem instynktownie otoczyli generała i jego udju-tanta.

Generał dobył szabli lecz brakło mu odwagi rzucić się na żołnierzy. Czuł, że mogło się to źle skończyć. Wszyscy mieli karabiny.

Mogiłow zabrał głos.

— Zgadzaamy się... Należy nam się te dziesięć tysięcy rubli.

— Doskonale — odrzekł Turek.

Wyznaczam nagrodę tylko dziesięciu tysięcy rubli za uwięzienie stojącego przed wami generała. Okładł on kasę pułkową i dlatego nie ma wam czem zapłacić. Odprowadzicie go do naszego obozu i tam natychmiast otrzymacie pieniądze. Gwarantuje wam, że w niewoli myśleć będę o tem, by wam się działo dobrze, a po skończonej wojnie zabezpieczę wasz los. — — — — —

— Widzicie, bracia — prawil Mogiłow, gdy wieczorem tego samego dnia



Szlakiem bojowym legionów.

Wymarsz na plac boju legionistów polskich ukrywających się w czasie inwazyi rosyjskiej we Lwowie.



Szlakiem bojowym legionów.

Ruiny na pozycyi.

zasiedli do zastawionego stołu w ciepłej izbie w obozie tureckim — że postąpiliśmy dobrze. Każdy z nas ma teraz po tysiąc rubli i... wygodną niewolę.

Drobne wiadomości.

O honor Warszawy. W artykule pod wyższym tytułem w jednym z ostatnich numerów, „Goniec” wzywa do pozostania wszystkich w mieście. Apeluje przytem do kobiet polskich.

„Kobiety Polskie, czytamy w artykule „Gońca”, zawsze odrywały wielką i dominującą rolę i teraz ich wpływ jest potrzebny. Wojna w całej pełni prawdziwie męskie ideały kobiecie polskiej ukazała. — Wszak przyzna nam każda kobieta w Warszawie, że ideałem jej nie jest uciekający tchórz, lub karmiący ją strachem, paniką i popłochem motyl warszawski. Inne ideały powinny widzieć matki w synach, żony w mę-

żach, siostry w braciach, kochanki w kochankach.

Wzywamy cię, kobieto polska, dla której mamy więcej czci i szacunku, niż dla mężczyzny z prawego czy lewego brzegu Wisły, okaż swą moc w godzinie próby, niech się obudzi w Tobie serce, a w niem — wiemy — że jest moc dumy i honoru. Jedno spojrzenie twej pogardy wystarczy, by ze stada baranów uczynić ludzi.

„Przyszedł albowiem dzień pokuty za nasze i ojców winy. rehabilitacja z grzechów spełnionych za naszych i dawnych czasów, dzień męki, lecz dzień tryumfu — dzień uszlachetnienia przez ból dusz



Przesłuchiwanie zajętych jeńców rosyjskich przez dowódców niemieckich w Galicyi.

naszych. Oto prawdziwe szlachectwo, kupić sobie swoją postawą może Warszawa. Uczynić jeden krok z niziny wzwyż, a droga do zbawienia otwarta.

Ku błotom i nizinom schyliła się dusza narodu, czas, by z tej drogi poniżenia podniosła się i szła nieprzerwanym lotem tam, gdzie panuje Bóg, ojczyzna nieśmiertelność i bohaterstwo.

Zbliżyć się może decydująca chwila próby, z niej wyjść powinna Warszawa zwycięsko spełnić do ostatka swe obowiązki obywatelskie na stanowisku wytrwania i przywiązania do rodzinnego miasta, z którego ufać trzeba, żadna nawet żywiołowa siła wojny nas nie usunie“.

Jak bardzo wyraźnie poprzez kaganiec cenzury moskiewskiej wzywa polskie pismo w Warszawie do „podniesienia duszy narodu tam, gdzie panuje Bóg, nieśmiertelność i bohaterstwo“.

Jak wyraźnie tu jest mowa o złaczeniu się z tymi, którzy z bronią w ręku blisko rok już są tam, gdzie panuje Bóg, ojczyzna, nieśmiertelność i bohaterstwo!

List legionisty. Dziękuję za obszerną wiadomość, jaką nakreśliłeś mi o obu bitwach. Smutek mnie przejął, gdy dowiedziałem się, że z Tarnowiaków jest tylko Franciszek Pacocha przy pułku, a inni śpią w mogile przypieczętowani znakiem śmierci, oddając to, co mieli najdroższego za Ojczyznę, bo życie. Tych nie żałujemy, spełnili obowiązek, a teraz śpią błogo — niech im mogiła lekka będzie — Requiem. Kiedyś, gdy się znajdziemy razem, gdy Bóg pozwoli, wspomnimy na nich, że byliśmy godni dzielić ich trudy, chociaż P. Bóg pozwolił nam nadal żyć, ale tylko po to, gdyż pewnie inne wyroki, bo pewnie nas co innego czeka. To Bohaterzy, co zgineli z otwartą pierśią, z słowem tęsknoty za wolnością naszej Ojczyzny. A jednak żal mi tych ludzi — to kwiat, który dopiero zakwitł za wschodem słońca, a już nim słońce zaszło, został skruszony brutalną ręką. A inni jęczą po różnych szpitalach, walczy w nich o lepsze młodość i życie — tych mi żal strasznie — i ci nastawiali mężnie swą pierś, znosili trudy wszelkie bez szmeru, a teraz znoszą ogromne walki, bo łoża szpitalne, to nie odpoczynek dla polskiego żołnierza, to ciągła walka stokrój gorsza niż z wrogiem, bo walczy z swem niedołącznym ciałem i chociaż na duchu silny, chociaż duch nie szmerze, to biało się skarży — to strasznel! Gdybyśmy odnieśli ranę na duchu, byłoby nam lżej to znieść — ale niestety — duch rwie się do czynu i szarpie i rani beznamiętne ciało — ból, przez który wydobywa się z piersi jęk bezmyślny, a nieraz bluźnierczy a osłodą dla nich to to, że dla „Ojczyzny“ słodko jest krew przelać, i otrzymać blizny.

Tym powinniśmy się starać ulżyć w cierpieniach bo przyszłość, o którą oni walczyli, za którą rany otrzymali, jest przyszłością naszą.

Kochany Józku! Co do mojej nogi, to mieli mi wprawdzie amputować, czyli oni chcieli, ale ja nie chciałem, i dlatego mam nogę. Jak doktorzy twierdzą, to ona się wyprostuje, nie trzeba na nią lekarstwa, tylko czasu a zresztą mnie się nie o nogę rozchodzi w tym wypadku, tylko o to, bym mógł do pułku wrócić — bom tam być powinien.

Dlatego będę się starał jechać do Piszczan, ale kiedy, to na razie nie wiem. W każdym razie dam Ci znać.

Tajny okólnik. Do gubernatorów kraju Przywiślańskiego. Odnosnie do odezwy wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza na zapytanie skierowane do mnie,

jak postępować wobec ludności w kraju przywiślańskim, zawiadamiam panów gubernatorów, iż odezwa wspomniana nie odnosi się do kraju przywiślańskiego, a ma jedynie na myśli wszystkie ziemie polskie nie należące do imperyum rosyjskiego, które Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz zdobył w ciągu operacji wojennych. Dopóki to nie nastąpi, nic nie będzie zmienionem w dotychczasowym prawnopolitycznym stanie kraju Przywiślańskiego, jedynie należy wobec ludności polskiej występować w obrębie obowiązujących ustaw z możliwą uprzejmością.

Makłakow.

Tyle tajny okólnik, który dzięki niedyskrecyi urzędnika politycznego, wydobyto z archiwum generał-gubernatora warszawskiego, jest potwierdzeniem tego przekonania, które panowało już powszechnie w Warszawie, iż odezwa w. ks. Mikołajewicza jest wielkiem ale pustem słowem, bez żadnych skutków politycznych.

Była ona dla stronnictw polskich w Królestwie atutem politycznym, który należało wyzyskać i na którym operano się, aby zdobyć pewne ulgi w nieznośnych stosunkach politycznych, panujących w „kraju przywiślańskim“. Ale opinia publiczna w Rosyi zbyt dobrze zna chytre metody rządu rosyjskiego, aby mogła się łudzić, iż Królestwo Polskie łatwo uzyska coś z przyrzeczeń wielkiego księcia. Rosyi nie znają państwa centralne, znało ją natomiast doskonale społeczeństwo polskie i ono jedynie nie myliło się w ocenianiu wartości prawdziwych rosyjskich dążeń i metod politycznych. Jeżeli zaś Warszawa miała uśmiech na ustach, kiedy mówiła o odezwie w. ks. Mikołaja, to uśmiech ów był dyplomatycznym skwitowaniem przyrzeczeń — jak się okazuje obecnie przyrzeczeń — nieziszczalnych.

BOGDAN ZNICZ.

W obczyźnie.

Słyszę tam, w dali,
Jak harfa jęczy,
Jak drga w powietrzu jej smutny dźwięk!
Hej, to się z serca dobywa jęk,
Płynie po fali,
To — serce jęczy!

Słucham! — Jak cudny
Dźwięk pieśni onej;
W mojej Ojczyźnie słyszałem ją!
Dziś tu, w obczyźnie, kto pieśnią tą
Ten kraj odludny
Porusza skargę duszy stęsknionej?

Słucham! — Jak rzewne
W dźwiękach tkwią słowa!
Ach, to mi znana wygnańcza pieśń!
Zda się rozszerzać na serca cieśń,
W tych dźwiękach słowa!

Słucham! — Wciąż płyną
Ku mnie jej tony!
A taki tęskny jej dźwięk i głos!
Ach, smutny, ciężki wygnańców los:
Myśli wciąż płyną
W ojczyste strony,
Wciąż płyną — płyną — i płyną!!

Na starym gruncie.

Powieść

przez

9)

M. Febroniusza.

Stanisław przybył do Warszawy, przed zachodem słońca i była chwila, że chciał jeszcze wyjść na miasto, ale rozmyślał się i tylko napisał list do jednego z kolegów swoich, dawnego znajomego jeszcze z ławy uniwersyteckiej, z którym nie żył teraz blisko, bo drogi ich życia rozchodzily się przez różnice położenia majątkowych, choć ludzie lubili się i cenili wzajemnie. Byli niemal w jednym wieku, ale tam temu miłość wcześniej zaszła drogę życia, i żonaty był już, miał dwoje dzieci, a że zasobów żadnych poza pracą zawodową nie było, że nie mógł urządzić się elegancko i ze względu na rodzinę musiał chwytac sprawki choćby najmniejsze, wyrobiło mu to kientelę ludzi niebogaty, więc niehojnych i opędzał się jak mógł, jeżeli już nie wręcz biedzie, to przynajmniej twardemu życiu z dnia na dzień, którego nikt ani lekkim, ani wesołem nazwać nie mógł. Do niego to Stanisław napisał zaraz prawie, gdy się w domu znalazł, prosząc, aby do niego zaraz, a przynajmniej najprędzej jak będzie mógł, przybywał. — Bardzo mi jesteś potrzebny — pisał. — Bardzo., bardzo. Choćbyś miał robotę, to ją odłóż, bo jest to wielka usługa przyjacielska, o którą cię proszę i w której nikt inny zastąpić cię nie może.

Pan Walery Rębski, aż się zląkł, list taki odebrawszy. Przychodziły mu do głowy sprawy polityczne, pojedynki, i co prędzej też znalazł się na Placu Teatralnym. — Czy p. adwokat zdrów? — zapytał niespokojnie dependenta w kancelaryi, ale Stanisław odpowiedział mu na to sam, głos jego w gabinecie swoim usłyszawszy: — Zdrów jestem — odparł — ale tylko co z drogi od ojca wróciłem, a interes.. Wyjeżdżam do ciebie mam, Walery kochany, zwłoki nie cierpi.. Wyjeżdżam z Warszawy i kancelaryą moją zdać ci chcę — dodał, gdy się sam na sam znaleźli. — Ty zbytku interesów na głowie nie masz, obejmij więc i moje; dla mnie będzie to łaska, a ty sobie może lepsze istnienie wyrobisz.

— Wart tego jesteś — dodał — a przytem masz żonę i dzieci, na które pracować musisz. Nieraz mi to ciężko na sercu, że zabieram miejsce potrzebniejsze dla innych, i teraz też zdobyłem się na postanowienie — wyjeżdżam...

— Do ojca nie wiesz?

— Wyjeżdżam... odpowiedział Stanisław krótko i dodał tylko, że musi to nastąpić w możliwie najkrótszym czasie. — Wiem, że jutro nie można, bo są formalności do załatwienia, tak względem zdania ci kancelaryi, jak i paszportu, ale pojutrze, muszę jechać!.. zakończył.

Tak było rzeczywiście: jechać musiał, jechać było mu potrzeba, bo wzburzone uczucia zranionego serca pędziły go z miejsca, na którym wytrzymać już nie mógł. — Zważyowałbym, gdyby mi tu trzy dni siedzieć przyszło... mówił sobie: pieszczoch losu, szczęśliwy całe życie, nie umiał się z nieszczęściem cicho łamać i dusiło go tu powietrze, udrećzaly twarze ludzkie — wszystko, co wkoło siebie miał. Tego, co w nim było, wyrzucić z duszy nie mógł, lecz zdawało mu się, że potrafi lepiej tego dokonać, gdy się coperędzej znajdzie gdzieindziej. — Jechać muszę... powtórzył przyjacielowi.

Walery zaniepokoił się znowu, i nie tylko tem, co usłyszał — tą nagłością wyjazdu, pilnego jak ucieczka, ale głosem i twarzą Stanisława. — Co tobie jest? — zawołał. — To nie kaprys już, ani jakaś chęć zabawy, wyjazdu na swobodę... Coś cię dotknęło, coś ciężkiego... Choć nie widuję cię tak często jak niegdyś, bo muszę orać nielekką,

moją skibę, aby żona i dzieci miały co jeść, ale w uczuciach moich dla ciebie nic się nie zmieniło. Powiedz mi, co się stało; ufasz mi chyba po dawnemu, a że ja po dawnemu życzliwy ci jestem, więc wiedzieć pragnę: co cię stał wypędza tak niespodzianie?

Stanisław chciał fanfaronować, udawać jakąś kawalerską sprawę, ale nie mógł. — Nie pytaj mnie, druhu stary... zawołał w końcu — nie pytaj, bo nie odpowiem... Wyobraź sobie coś, jak zawałenie się tego oto sufitu nademną... a raczej zawałenie się takiego kawalka niebios, o którym myślałem, że jest nad głową moją najsilniej już utwierdzonym... Masz dobre serce, to wiem nie od dzisiaj, pomóż mi zatem jak przyjaciel, abym się z pod gruzów wydobył, bo mnie przydusić mogą.

Mówił z wielkim wzruszeniem, ale i ze stanowczością wielką i p. Walery zrozumiał, że się tu nic odmienić już nie może. Najpierw należało załatwić sprawy osób trzecich: to jest sprawę kancelaryi, ale na tem tylko nie kończyło się to, co Stanisław zamierzył. Oddawał przyjacielowi i mieszkanie swoje, sprzęty — wszystko zgola, co się tu znajdowało, od najmniejszej do największej rzeczy. Tamten biedak nie miał przecież pieniędzy, aby to nabyć, ale Stanisław uprzedził go w trosce o tem. Myślał przez całą drogę — myślał przez całe długie mil dziesięć i ułożył plan cały, co i jak zrobić będzie trzeba. — Nie mogę przecież zabrać tego ze sobą — tłómaczył zmieszszanemu człowiekowi — wziąć tego na plecy, ani też zwołać handlarzy i sprzedawać krzesła po krzesła, książki po książce. Może zepsuty jestem przez życie, jakie dotąd pędziłem, ale takie rzeczy wstrętne mi są i prędzej podłożyłbym tu ogień i spalił to wszystko. Oddasz mi dług, gdy wrócę i upomnę się o niego. Ty się dorobisz, a ja może wtedy potrzebniejszym będę, niż jestem dziś...

— Może zwłaszcza będą potrzebował cichego kąta i dobrych ludzi, to się utulę przy tobie i rodzinie twojej. Że darmo wziąć nie chcesz, rozumiem to, ale wystaw mi kwit na sumę, jaką przypuszczasz, że mi winnym się stajesz. Jeżeli będę żył, to się zgłoszę po należność, jeżeli zaś umrę kędyś daleko, to, jak wiesz, spadkobierców żadnych nie mam — nikogo, coby do spadku po mnie mógł sobie prawo rościć, i w takim razie oddasz to wedle Boga i sumienia jakiemu biedakowi, samotnemu na świecie, któryby nie miał, ani matki, ani ojca — sierocic jakiemu...

Nie dodał: — Tak jak ja... ale czuć było, że to myślał, bo zanadto był wzruszony, aby zręcznie kłamać mógł, rana też, którą naciskać musiał, była na to za świeżą i przyjaciel popatrzył mu uważnie w oczy. Nie zapytał przecież o nic, bo się domyślał, że kryć się tu musi na dnie historia jakaś, tak ciężko smutna, że Stanisław głosić jej nie chce. Parę godzin siedzieli we dwóch tylko w gabinecie Stanisława, który następcy swemu stan ważniejszych spraw objaśniał, notatki potrzebne dawał i trochę malował ludzi, z którymi trzeba tu było nieć do czynienia, a odzyskał już zimną krew i wywiązywał się z tego dość dobrze, miał nawet humoru trochę i ironii, gdy mówił o ludzkich nadziejach i tak zwanych perspektywach życia, aż Jakób, kilkakrotnie zaglądnący na nich przez drzwi, wszedł tu na koniec. Przynosił herbatę i przekąskę do niej, ale się zarazem uponniał, aby Stanisław po drodze odbytej za długo przy robocie nie siedział. Walerego dobrze znał, więc też go poprosił, aby dalszy ciąg konferencji, jak się już wyrażać nauczył, odłożono do jutra. — Bóg da ludziom dość czasu na wszystko — rzekł. — Był go marnie nie trwonić, wystarczy go zawsze człowiekowi na to, co mu rzeczywiście potrzeba, ale sił zbraknąć mu może, jeżeli ich ochraniać nie będzie. (C. d. n.)

(25) **Męczennica.**

(Powieść oryginalna).

Kukiewicz wierutnie kłamał, bo przyczyną jego kalectwa podobnie była belka, jak blizny na twarzy spadnięcia. Blizna pozostała po ukąszeniu wiernego psa Kruczka, w chwili kiedy się rzucił na łotra w obronę bezprzytomnego pana i kalectwo datowało się od tej samej chwili.

Artur wstrząsał głową, jak gdyby słowom kulawego nie wierzył.

— Istotnie to balka! — zaręczał wytrwale Kukiewicz. — Ja mogę pokazać kamienicę, pod którą to się stało, ta balka jest zawsze na tem samym miejscu, na pamiątkę wypadku. O, ja leżałem cztery miesiące w szpitalu, myślałem, że się nie wylizę, twarz mi zszywali doktorzy, nogę mi odcinać chcieli, alem się wyprosił. Tak, tak, Przechodził człowiek bardzo nieszczęśliwe koleje.

Artur nie słuchał, bo był zamyślony, po chwili zmierzyl dawnego swego pomocnika wzrokiem i powiedział:

— Dobrze, że ciebie wreszcie znaleźli, Kukiewiczu. Mam do załatwienia ważną sprawę i jesteś mi bardzo potrzebny. Wiesz ty o tem, że ciebie przez cały tydzień po wszystkich kątach szukam?

— Łatwo być może, człowiek na stare lata zmierzi sobie świat i staje się nieprzyjacielem ludzkości, więc ukrywa się przed ludźmi. Ja się bardzo na ludziach zawiodłem, więc unikam z nimi zetknięcia. Wszakże nikomu nie szkodzi takie niewinne dziwactwo. Więc to pan hrabia ma ważny interes?

— Ważny, powiadam i potrzeba wielkiej przezorności i sprytu, aby go dobrze doprowadzić do końca. Spodziewam się, że ty na stare lata nie odmieniłeś się w niczem i jesteś, jak dawniej, z wyjątkiem blizny na twarzy i kulawej nogi, ale to nie ma nic do rzeczy.

— Ale naturalnie, że nie ma! Nie chwalcę się, człowiek mógłby się jeszcze w niejednym wypadku na coś przydać, ale głupi świat nie wie, do kogo się udać o pomoc? Jakż to jest ten interes?

— Słuchajże mnie, mój kochany.

— Jestem cały uchem.

— Ona jest tutaj w mieście.

— Jest!... To nie dobrze...

— Ja wiem o tem, że nie dobrze, chodzi więc o to, aby jej nie było, tembardziej, że ktoś chce się dopytywać o nią i mógłby dowiedzieć się wiele niepotrzebnych rzeczy.

— Nietylko niepotrzebnych, ale nieprzyjemnych, nietylko nieprzyjemnych, ale bardzo dla nas niebezpiecznych. Mówiąc prawdę, awantura z tą dziewczyną wypędziła mnie z domu i odbiera mi śmiałość do ludzi. Nie uskarżam się, ale z przyczyny pana hrabiego byłem w niemalym ambarasie, żeby to choć było za co, ale to za tych głupich kilka tysięcy złotych! Spodziewam się, że pan hrabia będzie miał wzgląd na moje położenie i wynagrodzi mi wszystkie poniesione koszta. Ta dziewczyna niepotrzebnie żyje i zawadza mi na świecie. Gdyby do czego przyszło, mógłbym

wpaść w nieszczęście, chociaż nie wszystkiemu jestem winien. Gdzie ona się teraz obraca?

— Tego nie wiem i właśnie chodzi o to, aby się dopytać...

— Ba, ale jak, u kogo?

— To już do ciebie należy.

— Będzie wiele kosztować.

— Dam, co będzie potrzeba.

— Tak, to co innego. Gdzie i kiedy ją pan hrabia widział?

— Niedaleko Mogilskiej rogatki, przed ośmioma dniami. Słuchaj, co za szczególny przypadek: szła gościńcem, gdy ja nadjechałem, upadła tak nieszczęśliwie, że wjechały na nią konie, koło przeszło jej przez piersi...

— Pan hrabia ją poznał?

— Ona mnie poznała i wymówiła moje imię, dopiero wtenczas ją poznałem.

Kukiewicz patrzył hrabiemu bystro w oczy i zapytał cichszym głosem:

— I cóż, czy bardzo ją przejechało koło?

— Gdym spojrział na nią, widziałem, że krew wyrzucała ustami, krew z piersi płynęła...

— Gdyby to tak w samej istocie było, gdyby umarła!

— Gdyby umarła! — przemówił machinalnie Artur i milczał chwilę zatopiony w myślach, potem ocknąwszy się powiedział schylając usta do ucha złoczyńcy:

— Musisz się jak najprędzej dowiedzieć, gdzie ona się znajduje i co z nią się dzieje, potem byśmy pomówili, co dalej czynić potrzeba!

XXVII.

Kukiewicz zatarł ręce, dostał trochę pieniędzy na zadatek, a spodziewał się dostać więcej: oto pierwszy powód dobrego humoru.

Dla ludzi takiego jak on rodzaju jest pieniądź rzeczą łakomą, można zań hulać w dobranem towarzystwie, włóczyć się od szyneczku do szyneczku, spać i leżeć pod lawą, który to stan cichej kontemplacji wielce zadawalnia i ma być nader rozkoszny.

Prawdę mówiąc, Kukiewicz żył od niejakiego czasu w rozpaczliwej bezczynności, stracił kredyt u podupadłych rzemieślników i rekursów, a innego rodzaju zarobek nie zwykł się nadarzać codziennie, więc pocziwiec nie mógł, mimo szczerzej chęci, na cudzą i własną korzyść używać swojego talentu.

Cieszył się, że się nadarzyła nowa czynność, przemysłował, wpadał w zapal i zabierał się energicznie do dzieła.

Maryja dogorywała, Samson trzymał jej rękę w swojej dłoni i płakał. Dawał chorej lekarstwo, muchy z niej zganiał, wpatrywał się w zapadłe lica i wyczytywał życzenia w gasnących jej oczach. Każdy jęk odbijał się w jego duszy, był błąd i bardzo zmieniony.

Nawet szczygłów i czyżów nie było w pokoiku, ich świegotanie przerywało sen chorej, więc poleciały na wolność z klatki.

Ogródek poczynął zarastać trawą i zieleń, ręka tro-
skliwa nie polewał grządek i nie wyrwała chwastów.

Jacek chodził smutny od kąta do kąta i rozbijał sobą
nieprzytomnie ściany i sprzęty, nie widział biedaczysko
przed sobą, bo mu zasłona z łez leżała na poczciwych
oczach.

Przybliżył się, stąpając na palcach, do chorej i spytał
z współczuciem:

— Czyli ci lepiej już, Maryo?

— Nie lepiej — odpowiedziała zapytana cicho.

— Biedna ty bardzo, żal mi cię serdecznie! — Miej
w Bogu nadzieję, on ci zdrowie przywróci!

— O to Go nie proszę! nie żal mi świata, więc śmierci
się nie lękam, im prędzej nadejdzie, tem prędzej skończy się
cierpienie. Ta myśl jedna tylko mnie trapi, czyli mi Bóg naj-
cięższą winę mojego życia odpuści!

— Czyż wina twoja może być tak wielka, żebyś aż
zwątpiła w miłosierdzie boskie?

— Zgrzeszyłam lekkomyślnością i łatwowiernością.

— I pokutowałaś do tej chwili, a pokuta zmywa
wszelką winę.

Drzwi się otworzyły i wszedł ugalowany lokaj z pu-
delkiem pod pachą, oglądając się dokola, potem przysta-
piwszy do Samsona, który dla wysokiego wzrostu zdał mu
się być gospodarzem domu, oddał flaszkę wiśniowego so-
ku, funt szarpi i dwa łokcie grubszego płótna na kompresy
i wyflómaczył swoje przybycie:

— Przysyła mnie tu jaśnie wielmożna panna. Oddaję
sok, szarpie i płótno i mam się spytać, czy chorej jest lepiej.

Samson gębę otworzył i słuchał zdziwiony. Jacek
przybliżył się do lokaja i spytał otwarcie:

— Kto jest wasza panna, dla kogo to posela, co przy-
nosicie i czego zresztą od nas potrzebuje? Może wy się
mylicie, może wy niedobrze trafili?

— Nie myślę się, bo mi tutaj pokazano. Panna jechała
z panem hrabią, gdy przejechał tę niewiastę, co leży. Jeżeli
potrzeba będzie lekarstwa z apteki, od nas zapłać.

— Mamy tyle, że na lekarstwo wystarczy, wcale nie-
potrzebna troskliwość. I to, coście przynieśli, możecie za-
brać ze sobą napowrót.

— Mam rozkaz tu zostawić, więc zabrać nie mogę.
Mam także rozkaz spytać się, zkąd ta niewiasta zna pana
hrabięgo? Panna jest jego narzeczoną.

Maryja podniosła się o własnej sile na łóżku, wycią-
gnęła ręce, jakby złe widmo chciała odegnąć od siebie, po-
tem głosem cichym, lecz wyraźnym powiedziała:

— Panna jest narzeczoną człowieka, który zniszczył
szczęście mego życia... uwodziciela!...

Skończyła i zamknęła oczy, aby ich nie otwierać już
więcej. Upadła bezwładna na pościel i ulciało z niej życie.

Gdy Jacek chwycił jej rękę — była skostniała i zimna.

Drugiego dnia chciał Artur odwiedzić Amelię, ale mu
powiedziano, że dla niego niema jej w domu.

W godzinę potem doniósł mu usłużny przyjaciel, że
całe miasto rozpowiada dziwne rzeczy o uwodzicielu bie-
dnej dziewczyny.

Nadszedł Kukiewicz i oświadczył, że Maryi nie może
odszukać, obiecywał, że ją wynajdzie i żądał pieniędzy.
Z wyższego rozkazu służba wyrzuciła go za drzwi.

Na pół zbankrutowany hrabia pragnął wyjechać za gra-
nicę, lecz nie miał za co, musiał siedzieć w miejscu. Zacią-
gnął się do wchodzącego w życie »żokejklubu«, nauczył się
pić kwaśniejsze wino, lulał, żył wesoło i został obrany
żokejklubistów prezesem.

Przyjął godność i piastował ją do chwili, w której
spadłszy z konia, rozciął sobie głowę na kamieniu.

Towarzysze, popiwszy się na pogrzebowej stypie, pla-
kali po nim serdecznie.

Jacek i Samson pogrzebali Maryę.

Samsona nie opuszczała tęsknota, smucił się do ostat-
niej chwili życia.

Jacek filozofował, jak zwykle, a przyszedł z czasem do
tego arcyładnego wyniku, że tak z filozofią, jak i bez niej
nie wiele człowiek pomoże na świecie.

Kukiewicz był w biedzie, przy dobrej okazji wszedł
z złodziejem w spółkę, okradł kogoś i poznał się z krymi-
nałem. Narzekał na świat i mówił, że gdyby miał władzę
po temu, zreformowałby wszystko na lepsze.

Kryminał mu nie posłużył, bo tam, po kilku latach, ży-
cia dokonał.

K O N I E C.

I. ROQUIGNY.

Z poematu

A la Pologne.

Do Adama Mickiewicza.

Największy z Duchów Wasz. ch w Paryżu był wśród nas.
Promienny został tam geniuszu jego ślad.
Kłęcząc, czytałem tam niejedną Ciebie raz,
Ciebie, coś za nas czuł i myślał tyle lat,
Ciebie, którego dziś Milionem słusznie zwa,
Bo w sercu swem milionów z ongi kowałeś ból.
I skromny, acz płomienny, kroczyłeś ścieżką swą,
Miłości; wiary siew do naszych niosąc pól.

Entuzjazm wśród młodzieży naszej słowem swem
Budziłeś, o Poeto, dalek ch od nas stron.
Twe słowa były nam, jak Objawienia dzwon,
Głoszący święty bój z odwiecznym świata złem.
Pozdrawialiśmy w Tobie proroczy, boski dar
Piewcy męczeństwa Ludu, co zwalczał podły kłam.
Katedra, z której szedł ten nieśmiertelny czar
Twych wieszczych słów — ołtarzem stała się odtąd nam!

Słuchacze Twój dziś w Mogiłach cichych śpią.
Lecz gdybyś, Wieszczu, mógł żrenicą orlą swą
Przeniknąć serc ich głąb, przeniknąć ducha treść,
Czułbyś, że Twój entuzjazm nie tylko budził cześć,
Lecz rodził pragnień splot w gorących duszach ich,
By Bóg O, czyżną Twą od losów bronił złych,
By wśród narodów wszech swej łaski dawał znak
Tej Polsce, którąś Ty uwielbiał, kochał tak...

Przełożył w „Kuryerze Lwowskim“

Wł. Selim-Bukowiński.

Z warszawskiego bruku.

W jednym z numerów »Świata« znajduje się bardzo trafny i charakterystyczny wizerunek żywota warszawskiego gawrochea czasu wojny. Jak, czem i z czego żyje ta szara niedza, i skąd tyle tupotu życiowego bierze, to Alę, tego dzwonego życia, tego tajemniczego i miast. Ale przejdźmy do samej barwnej opowieści.

»Gdy spotka sfojansa lub pana lewirowego — ginie, jak kamfóra. O, bo nie bardzo przyjemnie w »cerkule. Opickuni mają ręce twarde. Kiedyś było głodno, chłodno, często nawet do tych rozkoszy dodawano jeszcze siarczyste przekleństwo; a dziś już nawet marzeń niema o tem, by dom mógł przygarnąć, utulić. Bieda skrzypi, szydzi. Przycichła nieco tylko w swoim zwolowieszczym krzyku, gdyż wódki nie dostać. Komitety dają, ale co tam! Lepszy grosz własny, choć zwędzony, niż wystany przed bramą komitetową.

Ulicznik warszawski zresztą ma tyle energii, tyle sprytu, że lubi zarobić w różny sposób: próbuje Komitetu, próbuje gazet, próbuje zawodów wszelkich, byle lekkich a rentowych. Lubi też wrażenia. I to nawet luksusowe: pudełko sardynek, pół funta kielbasy, kawał sera i funt okrucichów od ciastek. Toni się najadł!

W slotne dni zimowe wyciągał z brukówdrewnianych hacale. Zarobek bankierski! Funt haceli pół rubla!

— Dalby Fiszal rubla, jak Pana Boga, ale i on musi zarobić.

Na bocznicach rankiem sfukał młotkiem ulicznik, sfwdrował, kręcił, aż wykręcił hacel jeden, drugi, trzeci. — Nazbierał go funt cały i do żydka. Przez dwie, trzy godziny funt gotów. Można by wcześniej — ale pilnują dzieliworki. Niedosć, że sfójansy nas łapią — to jeszcze i to chamskie stróżostwo chce pokazać swoje urzędnicze nad nami władanie.

Na Boże Narodzenie to ci było frajerskie używanie: zimny ogień za dychę, mam magika, co sam fika — a co najważniejsze — kalendarze.

Kalendarz daje zarobek uczciwy. Można nawet wtedy pójść na Piwną na obiad za dwa złote. Pan nie wierzy! Jak Boga kocham! Pan myśli, że ja zawsze jadam na Berga za szóstaka, lub na starówce u pani prezesowej: dycha, zupa i kawał chleba. A psik. Żeby kalendarze kupowało bractwo cały rok — to byłaby ci frajda!

Łobuz marzy o kalendarzach, czy przesłaniają mu się mgłą wspomnień przyjemnych, pożądaných.

Parę złotych też się zarobiło na Niemcach, jak przyszli pod Warszawę. Sam sprzedałem dziesięć pickielhaubów. Dobrze za to placili. Narwałem się tylko z karabinem. Miałem obstalunek. Mówi mi tu sklepikarz: przynieś karabin, dam ci dziesięć rubli! Poszedłem. Zdobyłem. Nawet przez rogatkę przeniosłem. Wchodzę w Bugaj, tak się cieszę, lecę do sklepikarza, aż mię tu za hacel:

— Skądęś wziął?

— A z pod Kalwaryi...

— Iди w uczastok.

»Trzymali« mnie całą noc. Cały zarobek zmarniał. Nosilem też pisma rosyjskie na pozycye. Zarobić można — tylko droga nieprzyjemna. Z początku to zawsze się udawało. Kładę się na drodze i leżę. Jedzie samochód z panem oficerem, czy innym fatygantem — staje. Przemennie nie pojedzie. Wtedy się zrywam i proszę, żeby zabrali. Często brali, ale raz jeden pułkownik — to kazał szoferowi, żeby mi dał w ucho. Nie czekałem.

Dobrze się tu zarabialo na papierosach. »Wzienie« sobie dzieciaków Marcinowej i kazałem zbierać o gryzki.

Przez trzy dni nazbierali pięć funtów tytoniu: bo to taki hrabia raz się zaciągnie i rzuci. Zmieszałem i jazda na pozycye. Kupili. Dziś już trudniej z takim zarobkiem, bo soldaty dostają machorkę za darmo.

Raz mnie oficerzy wzięli do samochodu i kazali pokazywać drogę szoferowi, bo nie wiedział, gdzie Chłodna, a nawet jak jechać na Świętokrzyską. Dostałem trzy ruble. To ci porządne frajery.

Humor.

Dowcipny Jankiel.

Rzecz dzieje się w Królestwie podczas spisu ludności. Do Jankła przychodzi urzędnik rosyjski i pyta:

— Jak wasza familia? (Imię i nazwisko).

— Jankiel Firulkies, faktor.

— Wieroispowiedanie? (jakie wyznanie).

— Psiepraszam pana naczelnika... jak ja się nazywam Jankiel Firulkies i jestem faktor, to nie jestem archirejem chełmsko-warszawskim.

(Archirej czyli arcybiskup chełmsko-warszawski jest zwierzchnikiem cerkwi prawosławnej w Królestwie.)

Miedzy matkami.

— To już ten młody człowiek nie stara się o córkę pani!

— A nie! i nie ma czego żalować, bo to był jakiś ordynus. Uważa pani, Zosia tak ślicznie maluje, gra na fortepianie i pisze wiersze, a ten śmiał ją jeszcze pytać, czy umie szyć i gotować.

Inserować

nałoży tylko w tych pismach, które ze względu na ich wielki nakład, przynoszą korzystny rezultat. Jeżeli się inseruje

W ILUSTROWANYM PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM

wychodzącym w 14.000 egz. apekuje się temsamem do największego okręgu przemysłowego. Nie

potrzeba więc

ogłaszać w innych pismach i narażać się na niepotrzebne wydatki, gdyż pismo nasze stoi tak pod względem nakładu, jakoteż i wyposażenia na pierwszym miejscu. Wystarczy zainserować

raz jeden tylko aby się przekonać o korzystnym rezultacie

i w przyszłości stale u nas inserować. Numera próbne, oraz obliczenia załatwia się bezzwłocznie.